

Rewizjonistyczne gwarancje

Z warsztatu fałszerzy historii

Równoległe z mniej lub bardziej szczerymi próbami rozwinięcia t. zw. dialogu z Polską na temat tysiąclecia z nią sąsiedztwa — w NRF toczy się swoista kampania. Nacjonalści podjęli ofensywę, prowadząc, za pośrednictwem takich pism, jak neohitlerowska „Nationalzeitung und Soldatenzeitung”, akcję z wyraźnym celem: dowiesć (przy pomocy zeznań „świadków naocznych”), że prawda o hitleryzmie i II wojnie światowej została zniekształcona przez zwyczajów w celu pogrzebienia i upokorzenia narodu niemieckiego.

Jeżeli zaś hitlerowcy dokonali zbrodni — twierdzą fałszerze — to wyrównali je z nadwyżką zbrodnie dokonane na Niemcach przez sąsiadów ze Wschodu. Przede wszystkim jednak III Rzesza rzekomo nie ponosi odpowiedzialności za wybuch II wojny światowej. Została do niej zmuszona przez odrzucenie jej historycznie usprawiedliwionych żądań terytorialnych wobec Polski, popieranych przez wszystkich Niemców, z politykami republiki weimarskiej włącznie.

Tezę neohitlerowców o wzajemnych jakoby rachunkach krzywd między Niemcami nazistowskimi i ich ofiarami podtrzymuje dziś oficjalnie ministerstwo sprawiedliwości NRF, na którego czele stoi znany entuzjasta reżimów Salazara i Franco — dr Jaeger. Z jego poparcia ma powstać specjalna komisja dla badania zbrodni dokonanych rzekomo na Niemcach w czasie „wypędzania”.

Teza o „sprawiedliwych” celach wojny z Polską nie znalazła jeszcze dotychczas oficjalnego poparcia rządu w Bonn. Ale istnieją nieodparte dowody, że koła rządzące w NRF odnoszą się do tego rodzaju twierdzeń co najmniej z sympatią. Dowodzi tego choćby udział CDU i samego kanclerza Erharda w kampanii przeciwko byłym niemieckim antyhitlerowcom, którzy (jak Willy Brandt) w czasie wojny działali na emigracji przeciwko III Rzeszy.

Znana, choć po trochu zapomniana jest w Polsce sprawa głośnej książki Amerykanina, Davida Hoggana, p.t. „Wymuszona wojna”, wydanej dotychczas jedynie w Niemczech zachodnich, staraniem „Wydawnictwa Gazety Niemieckich Nauczycieli Szkół Wyższych”. Uznane w NRF znalazły zawarte w niej twierdzenia, że propozycje Hitlera wobec Polski były „nad wyraz rozsądne i lojalne”. Jedynie brytyjskie intrygi (lorda Halifaxa) utwierdziły, zdaniem Hoggana, Polaków w nierozumnym uporze: „odrzućcie tych propozycji przez Polskę — pisał — a następnie jej prowokacyjne postępowanie wobec Niemiec doprowadziły wreszcie do niemiecko-polskiej wojny”.

Dla udowodnienia swoich „odkryć” autor posłużył się metodą równie prostą, co nie praktykowaną w nauce: uznał publiczne przemówienie „pokojowe” Hitlera za dokumenty o niezbitości wartości dokumentalnej, natomiast odrzucił wszystkie autentyczne świadectwa i protokoły z tajnych rozmów Hitlera z najbliższymi współpracownikami.

Książkę Hoggana sfinansowały, wedle tygodnika „Spiegel”, „młodociane koła przemysłowe” NRF. Ponadto w piśmie cieszącym się pełnym uznaniem kół rządzących w Bonn — w „Frankfurter Allgemeine Zeitung” — ukazał się w swoim czasie artykuł Michaela Freunda, który przyznał bez ogródek, że poglądy, jakie wyraża Hoggan, znajdują w Niemczech zachodnich powszechne uznanie.

Freund, uważa jedynie, że porównywanie roszczeń terytorialnych republiki weimarskiej i żądań Hitlera jest wysoce nie na miejscu, ponieważ „dla niemieckiej republiki rewizja traktatu wersalskiego była celem i dążeniem, dla Hitlera tylko środkiem do wielkich i wyrównanych własnych celów”.

Zdaniem współczesnych „umiarkowanych” czynników w NRF, których reprezentantem typowym jest Freund, żądania Hitlera były więc słuszne. Jego wina polegała tylko na tym, że na nich nie poprzestał, prowokując powstanie antyhitlerowskiej koalicji wielkich mocarstw.

W tym samym duchu wyklada się dziś w szkołach zachodnoniemieckich. Podręcznik pt. „Żywa historia, część III” pisze wyraźnie o „umiarkowanych propozycjach Hitlera” i — zgodnie z kłamliwymi wymysłami propagandy goebbelsowskiej — o „ciężkich wykroczeniach nacjonalistycznego tłumu (Polaków) przeciwko niemieckiej mniejszości”.

Przebiegając w ten sposób młodzież, władze NRF zdradzają, że roszczenia do granic „tylko” z roku 1937 uważają właściwie za ustępstwo na rzecz „realizmu politycznego”. Jak bowiem głoszą urzędowe podręczniki historii i geografii, za tereny rdzennie niemieckie należy uważać co najmniej cały byłby zabór pruski.

Niedawno minister dla spraw przesiedleńców, Gradl, „wyjaśniał”, że NRF nie będzie obstawała „co do kropki i przecinka” przy granicach z 1937 roku. Niemcy „zjednoczone” zgodzą się nawet zagwarantować te granice, które Polska uzyska — po nowym rozbirozie.

Te bezczelne „sugestie” żywo przypominają „rozsądne i lojalne” propozycje Hitlera. Po pierwsze — obiecuje się tu „darować” Polsce i zagwarantować resztki pozostawionych jej własnych posiadłości. Po drugie — Bonn, podobnie jak i Hitler domaga się bezwarunkowego „zaufania” Polaków, choć poza oficjalnymi roszczeniami chowają w zanadrzu daleko obszerniejsze plany ograbienia Polski, wdrażane systematycznie własnemu narodowi.

Sytuacja jednak się zmienia i jeżeli koła rządzące w Niemczech zachodnich nadal będą ignorować tę zmianę, wątpliwe czy kiedykolwiek dojrzą warunki do rzetelnego dialogu między NRF a narodem polskim.

Historia gospodarcza ma to do siebie, że płynie uregulowanym, spokojnym nurtem, podczas gdy dzieje polityczne wykazują nieraz raptowne zmiany i obfitują w momenty, które z pełną słusznością określić można jako przełomowe. Ten ewolucyjny charakter procesów gospodarczych cechuje również dzieje Polski na przełomie pierwszego i drugiego tysiąclecia. Stosunki gospodarcze istniejące w momencie ukazania się Polski na mapie politycznej Europy ukształtowały się stopniowo w okresie od VII do X wieku. Przeobrażenia społeczno-gospodarcze dokonujące się w tym czasie związane były z przechodzeniem naszego kraju od wspólnoty pierwotnej do feudalizmu. Polska nie była tu wyjątkiem; procesy feudalizacji stanowiły główną treść dziejów gospodarczych całej Europy, z tym że na Zachodzie dokonywały się znacznie wcześniej i przybrały pełniejsze formy.

Spróbujemy w dalszym ciągu uświadomić sobie dokładniej, jakie główne rysy charakteryzowały przed tysiącem lat ekonomikę naszego kraju, na jakim etapie rozwoju gospodarczego znajdowała się wtedy Europa i w jaki sposób ściślejszy kontakt Polski ze światem zachodnim wpłynął na dalsze kształtowanie się jej oblicza społeczno-gospodarczego.

Do rzędu banalnych prawd należy już dzisiaj stwierdzenie, że na przełomie pierwszego i drugiego tysiąclecia Polskę zamieszkiwały plemiona osiadłe, czerpiące utrzymanie głównie z rolnictwa. Co prawda lasy zajmowały bez porównania większą powierzchnię niż dzisiaj, ale ziemie polskie nie były bynajmniej krainą „leśnych ludzi”. Po prostu przy ówczesnym zaludnieniu Polski jej mieszkańcom wystarczała stosunkowo skromny obszar uprawny.

A ilu było tych mieszkańców? Nie wiemy tego nawet w przybliżeniu. Według przypuszczeń niektórych historyków na obszarze Polski za pierwszych Piastów (z górą 250 000 km²) mieszkało prawdopodobnie 1—1,5 mln osób. Pociśmy się jednak, że liczba mieszkańców w innych krajach Europy również nie była wysoka. Zaludnienie całego kontynentu europejskiego około r. 1000 szacowane jest na 40—50 milionów. Przeciwnie na gęstość zaludnienia Europy wynosiła zatem około 4 osoby na km².

Najliczniejszą ludność posiadały kraje Europy zachodniej. Wyprzedzały one inne obszary Europy, w tym i Polskę, również pod względem rozwoju gospodarczego. Nie oznacza to jednak, że ekonomika młodego państwa polskiego znajdowała się w tym czasie w stanie zastoju. Pod koniec pierwszego tysiąclecia przeżywał się już w Polsce sposób uzyskiwania obszaru uprawnego przez wypalanie lasu (uprawa przemienno-za-rowa); zaczęła go powoli zastępować gospodarka ugorowa, najczęściej dwu polowa, ale w użyciu zaczęła wchodzić już system trójpłowy. Wszystkie uprawiane dzisiaj zboża znane były już naszym przodkom sprzed tysiąca lat, ba — wysiewali — także rośliny zbożowe dziś już zupełnie nieznane, np. ber (odmianę tatarską). Zyto, jak świadczy sama jego nazwa, odgrywało rolę decydującą — było podstawą życia. Znane były również rosnące u nas dzisiaj drzewa owocowe i warzywa, choć w odmianach

HISTORYCY WOBEC TYSIĄCLECIA

W naszym cyklu historycznym zatytułowanym „Historycy wobec Tysiąclecia”, w którym prezentujemy poglądy przedstawicieli nauki na niektóre zasadnicze problemy naszej państwowości zabiera dziś głos prof. dr Władysław Rusiński, kierownik Katedry Historii Gospodarczej Wyższej Szkoły Ekonomicznej.

Prof. dr Władysław Rusiński

Gospodarka Polski przed dziesięciu wiekami

mniej doskonałych niż dzisiejsze. Rolę uprawiali Polanie przy pomocy prymitywnych, jakkolwiek czasem pomysłowo wykonanych, drewnianych narzędzi: radła, sochy i brony. Do rzadkości jeszcze należały radła wzmocnione żelaznym ostrzem. Proste narzędzia pozwalały na uprawę ziem lżejszych i średniourodajnych; ciężkie, najbardziej urodzajne grunty jak i z drugiej strony najuboższe gleby piaszczyste spoczywały sobie jeszcze z reguły pod podściółką leśną, czasem też użytkowane były jako pastwiska.

Rzemiosło i przemysł odgrywały daleko mniejszą rolę. Nie znane były jeszcze miasta w dzisiejszym znaczeniu tego słowa. Funkcje ich zaczęły pełnić niektóre większe grody (wraz z podgrodziami) np. Wolin na Pomorzu, Gniezno i Poznań w Wielkopolsce, Opole śląskie. Niektóre zajęcia rzemieślnicze wyodrębniły się już w osobne zawody. Z pewnością istnieli już fachowcy garncarze, tkacze, zapewne też i kołodzieje, o których wspomina stara piastowska legenda. Inni rzemieślnicy pracowali — jeśli można tak rzec — na „pół etatu”. Na ogół bowiem rzemiosło związane było ściśle z rolnictwem; praktykowano je ubocznie w chwilach wolnych od pracy na roli.

Wymiana handlowa miała przejawnie charakter naturalny: wymieniano towar za towar. Jednak pieniądź, jako środek wymiany, znany był już w dziesiątym wieku. Obce monety, występujące na ziemiach polskich w wielu znaleziskach archeologicznych służyły po części potrzebom wymiany handlowej, po części zaś gromadzone były jako „skarby” tj. tezauryzowane. Natomiast pieniądź krajowy, wybijany u nas od czasów Mieszka I pełnił już głównie funkcje środka wymiany.

Ziemie polskie nawiedzane były przez obcych kupców. Wywożono z nich futra, miód, bursztyn, w zamian za to starszyzna rodowa i plemienna zaopatrywała się w broń, w przedmioty metalowe, oraz różne (o czym świadczy ówczesny pojęcie) artykuły zbytku.

Jeszcze ważniejsze były zachodzące na ziemiach polskich przeobrażenia społeczne. Stosunki wspólnoty pierwotnej ustępowały powoli miejscu ustrojowi feudalnemu. W X wieku feudalizm nie był jednak jeszcze w pełni wykształcony. Poważną rolę odgrywały jeszcze różne instytucje zwyczajowe, przesady, wierzenia — jednym słowem cały świat pojęć właściwych okresowi wspólnoty pierwotnej. Na wsi, obok możnych posiadaczy i podległych im już chłopów, istniała jeszcze — jako produkt rozpadu wspólnoty — spora warstwa drobnych wolnych rolników. Swoboda osobista cieszyła się też z reguły ludność mieszkająca przy grodach.

W zasadzie opisaną tu drogą szły również przemiany społeczne i gospodarcze w pozostałych krajach Europy. Jednak Zachód w końcu pierwszego tysiąclecia znajdował się już w dalszej fazie rozwojowej. Podkreśliliśmy wyżej, że kraje zachodnie, przede wszystkim Francja, dalej Niemcy zachodnie i północne Włochy były znacznie gęściej zaludnione



Prof. dr Władysław Rusiński

ne; istniały tu już większe ośrodki miejskie, w których pomyślnie rozwijało się rzemiosło; społeczny podział pracy między wieś i miasto rysował się w tych krajach znacznie wyraźniej niż na ziemiach polskich. Od VIII w. wzrastało na Zachodzie znaczenie wielkich targów — ośrodków wymiany międzynarodowej. Pieniądź jako środek wymiany stosowany był już dość powszechnie.

W zakresie techniki produkcji kraje zachodnie wyprzedzały resztę Europy. W IX w. zaczęły się tu upowszechniać — przejęte od Arabów — zwyczaj kucia koni, pojawił się też udoskonalony rodzaj uprzęży. Usporaunkowano transport lądowy i poprawiono warunki pracy na roli. Młyn wodny, znany już w czasach rzymskich, pojawił się na obszarze monarchii frankońskiej we wczesnym średniowieczu. Do Anglii i zachodnich Niemiec dotarł w VIII w. Pierwsze wiadomości o jego występowaniu na ziemiach polskich pochodzą z XII stulecia.

Rolnictwo krajów zachodnich operowało się już niemal w całości — z wyjątkiem terenów górskich — na systemie ugorowym. Trójpłowska była regułą w Anglii, północnej Francji i w północno-zachodnich oraz środkowych Niemczech, podczas gdy we Francji południowej, w Hiszpanii i Włoszech przeważała dwupłowska.

Pod koniec pierwszego tysiąclecia ustrój feudalny w krajach Europy zachodniej i południowej znajdował się już w szczytowej fazie swojego rozwoju. Wytworzyła się tu znana „drabina” podległości feudalnej, wykształcił się jednolity stan chłopski, życie wsi skupiło się w ramach zamkniętych posiadłości feudalnych. Ciężary chłopskie, właściwe epoce feudalnej, były już szeroko rozbudowane. Cechy zrzeszały rzemieślników i kupców w rozwijających się pomyślnie miastach.

W tym stanie rzeczy wejście Polski do wielkiej rodziny krajów chrześcijańskiej Europy, nie oznaczało wprawdzie rewolucyjnego zwrotu w dotychczasowych kierunkach rozwoju gospodarczego ziem polskich, ale rozwój ten niewątpliwie przyspieszył: przyczyniło się do ugruntuowania stosunków feudalnych w naszym kraju, do rozwoju miast, rzemiosła cechowego i szerszej wymiany handlowej. Na wsi zaczęły upowszechniać się doskonalsze narzędzia pracy (plug) i system gospodarki przemienno-ugorowej. Feudalizm rozszedł stopniowo więzi plemiennorodowe, stanowiące podstawę dotychczasowej organizacji społecznej; zastąpił je podział społeczno-stanowy. W ramach ustroju feudalnego wytworzyły się nowe, doskonalsze formy organizacyjne produkcji rolnej i przemysłowej, ale też narodziły się nowe, nie znane dotąd konflikty społeczne. Przemiany społeczno-gospodarcze epoki feudalnej dokonywały się w zasadzie kosztem chłopów, kosztem nasilenia jego feudalnej eksploatacji. Krytyczny okres w tej mierze stanowił właśnie przełom pierwszego i drugiego tysiąclecia. Dla poszczególnych warstw społecznych w Polsce oznaczał on początek nowych czasów, choć — jak tego dowodzą wielkie powstania ludowe z XI w. — nie zawsze szczęśliwych.

Ciekawi ludzie ciekawe sprawy

Sztuka a upowszechnianie

Nazwisko Jana Berdyszaka często pojawia się na łamach prasy i to nie tylko z okazji wystaw i wernisaży. Młody, 32-letni plastyk jest malarzem, rzeźbiarzem, wykładowcą PWSSP w Poznaniu. Uprawia scenografię, jest laureatem międzynarodowej nagrody festiwalu bukareszteńskiego za operę plastyczną spektakli Teatru Łalki i Aktora „Marcinek”, zajmuje się grafiką artystyczną i plakatem. Oryginalną, eksperymentalną twórczość plastyczną łączy przy tym od lat z pracą upowszechniania, popularyzatorską, do której nasi plastycy podchodzą na ogół z rezerwą. Przyniosła mu ona dwie nagrody Ministra Kultury i Sztuki za upowszechnianie plastyki w 1963 r. i 1965 r. i wiele satysfakcji, gdy wśród studentów PWSSP odnalazł swych byłych uczniów z pracowni plastycznej dla dzieci i młodzieży w Pałacu Kultury. Bezpośrednim powodem naszej rozmowy była jednak wystawa jego prac w Tokio; pierwsza bodajże wystawa

indywidualna polskiego plastyka w Japonii.

— Co pokazał Pan w Tokio i jakie są pierwsze echa Pańskiej wystawy?

— Wystawa moich prac, przeważnie grafik, tuszy i rysunków odbyła się przed miesiącem w Galerii Akiyama w Tokio pod auspicjami naszej ambasady i Uniwersytetu Tokijskiego. Pokazałem na niej 27 prac. Recenzje nie dotarły jeszcze do mnie. Jedynie list od jednego z organizatorów wystawy cytujący pochlebne dla mnie opinie znanego rzeźbiarza japońskiego Samaku oraz recenzenta jednej z czołowych gazet. Dowiaduję się także z Tokio, że Instytut Sztuki Nowoczesnej w Kamakura zakupił moje prace.

— Jak jako plastyk zapatruje się Pan na sprawę upowszechniania sztuki, popularyzacji jej wśród odbiorców? Na czym polegają Pańskie zdaniem jej trudności?

— Uważam, że plastyka ma chy-

ba to do siebie, że w zasadzie upowszechnia się sama, tylko że znacznym opóźnieniem. To co upowszechnia się od razu to plastyka będąca bocznym, choć również bardzo istotnym opóźnieniem. To co upowszechnia się funkcjonalna, użytkowa. Stąd dla nas, plastyków, powstają tak paradoksalne sytuacje jak ta, że odbiorcy chętniej przyjmują, kupują i oglądają na wystawach na przykład tkaniny bezpośrednio wyrastające z malarstwa niż same obrazy. Wydaje mi się po prostu, że rozumieją oni funkcję tkaniny traktując to, co jest na niej namalowane tylko jako dodatek. Nie rozumieją natomiast funkcji obrazu, przedmiotu artystycznego, który nie pełni żadnej innej roli poza intelektualną, wewnętrzną.

— Ale plastyce funkcjonalnej nie odmawia Pan chyba przez to w ogóle rangi artystycznej?

— Oczywiście, że nie. Jest ona jednak z natury rzeczy często podporządkowana funkcji i wtórna wobec plastyki laboratoryjnej. I ta,

Dokończenie na str. 2

OLGIERD BŁAŻEWICZ

"FARAON" — film produkcji polskiej. Scenariusz (oparty na dziele Bolesława Prusa): Tadeusz Konwicki i Jerzy Kawalerowicz. Reżyseria: Jerzy Kawalerowicz. Zdjęcia: Jerzy Wójcik. Scenografia: Jerzy Skrzepiński. Wykonawcy: Jerzy Zelnik (Ramzes XIII oraz Lykon), Andrzej Girtler (jego ojciec, Ramzes XII), Wiesława Mazurkiewicz (jego matka), Piotr Pawłowski (arcykapłan Herhor), Stanisław Miński (arcykapłan Mefres), Józef Czerniawski (arcykapłan Mentezefis), B. Janiszewski (arcykapłan Strażnik Labiryntu), Leszek Herdegen (prorok Pentuter), Mieczysław Voit (kapłan Samentu), Barbara Brylska (Kama), Krystyna Mikałajewska (Sara), Ewa Krzyżewska (Herbron), J. Buczański (Tutmozi), Wiktor Grotowicz (Nitager), Jarosław Skulski (Sargon, poseł asyryjski), Kazimierz Opałowski (Beroes, prorok chaldejski), A. Łodziński (Hiram, książę Tyru), Bronisław Dardziński (Dagon, kupiec fenicki), Jerzy Block (fellach) i inni.

Na nasze polskie możliwości było to przedsięwzięcie gigantyczne. Realizacja filmu trwała trzy lata, a jeśli policzyć czas pracy nad scenariuszem — pięć lat. Kręcono film na trzech kontynentach: na piaszczystych pustyniach Kizyl-Kum koło Buchar w Centralnej Azji, w Egipcie i w Polsce. Ponad jedną milion kilometrów od Polski, na pustyni pod Bucharą zbudowano świątynię Płah i pałac faraona, używając kilka tysięcy metrów sześciennych drewna sprowadzonego aż z Syberii, setki ton gipsu. Zaangażowano środki jakie są potrzebne do budowy zakładu przemysłowego. Tylko, że ta budowa odbywała się w suchy, jałowej pustyni, gdzie było 40 stopni w cieniu, 60 w słońcu, a piasek osiągał temperaturę 80 stopni. Zaś w masowych scenach uczestniczyło ponad 2 tysiące żołnierzy radzieckich, których trzeba było nie tyle nakarmić, co — w tej spiekocie — napoić. To tylko niektóre charakterystyczne dane obrazujące ogrom przedsięwzięcia.

Inną trudnością — i to już początkową — była kwestia adaptacji dużego dzieła literackiego do filmu, czyli: problem co wybrać. Z tym twórcy poradzili sobie chyba najlepiej. Wybrali bowiem jeden wątek walki egipskiej hierarchii kapłańskiej z młodym faraonem (wątek zresztą w powieści najważniejszy), wszystkie inne ograniczając do minimum. W ten sposób otrzy-

Mieczysław Skąpski

Kapłani contra władca

muujemy dzieło klarowne, jasne i zrozumiałe dla każdego, dzieło, którego tematyka jest w dodatku tematyką uniwersalną, równie dobrze egipską co włoską czy... polską. Gdzież bowiem można by znaleźć kraj, w którym by w takim czy innym okresie historycznym warstwa kapłańska nie sięgała po władzę? Chyba takiego nie ma i nie było, nie mówiąc już o tym, że są kościoły, których kapłani zawsze i niezmienne reprezentowali i reprezentują ambicje polityczne, żądę władzy czy choćby istotnych wpływów na władzę.

Tak było jak widzimy już w starożytnym Egipcie. Oto na tron wstępuje młody, wrażliwy, uczulony na krzywdę ludzką faraon Ramzes XIII. Wszelkowiedna dotychczas kasta kapłanów nie

FILM

chce zrezygnować ani na krok z posiadanych pozycji politycznych. Ostry konflikt między władzą państwową a hierarchią kapłańską zawiązuje się już w pierwszych minutach filmu i trwa przez cały czas. Stopniowo idzie o coraz ważniejsze sprawy. Zaczyna się od dwóch „świętych” skarabeuszy, które stają na drodze wojsk prowadzonych na manewry. Według religijnych zwyczajów należy skarabeusze ominąć, choćby za cenę wielkich — jak w tym wypadku — kosztów, ruiny gospodarskich, przez które przejdzie wojsko itp. Ramzes uważa to za bzdurę, za poświęcenie celów strategicznych, państwowych na rzecz mistycyzmu. Ale nie jest jeszcze faraonem, musi ustąpić. Gdy wstąpi na tron, będzie w tym sporze o sprawy nierównie większe. O finanse dla przeprowadzenia reform. Skarb faraona jest pusty, ale kapłani labiryntu pęcznieją złotem. Czy to jest sytuacja zdrowa, patriotyczna? Kapłani potajemnie rozwiązują najemne pułki libijskie w sy-

tuacji, gdy grozi wojna z Asyrią, tłumacząc to brakiem środków na ich opłacanie. Czy jest to działanie zgodne z racją stanu? Kapłani potajemnie, bez porozumienia z faraonem, znoszą się z wysłannikami Asyrii i zawierają z nimi układy szkodliwe dla interesów Egiptu. Kto ich do tego upoważnił? Walka idzie więc na całego, a że twórcy wyposażyli obie strony w nieblahe argumenty, raczej się waży i przechylają szalę raz w tę, raz w tamą stronę. Zwycięzają starsi, doświadczeni, którzy wykorzystali swą mądrość, znajomość astronomii i innych nauk do oszukiwania tłumu. Ale sympatia widza kinowego musi pozostać przy pięknej, szlachetnej postaci młodego Ramzesa.

Zwłaszcza, że znaleziono dla tej roli odtwórcę chyba idealnego. Jerzy Zelnik jest nie tylko niezwykle przystojny, zgrabny, sympatyczny, ale i w ruchach i w geście jest monarchą w każdym calu, świadomym swej roli, swej godności. Z plejady aktorów chciałoby się wyróżnić zwłaszcza kreujących rolę arcykapłanów: Pawłowskiego, Mińskiego, Opałowskiego. Znakomity jest Dardziński w nieco epizodycznej roli kupca fenickiego. Ogólnie aktorstwo jest dobre.

Oczywiście, specjalnym walorem filmu są plenery, zdjęcia, kolory oraz dekoracje. Nie ustępuje w tym najlepszym wzorom światowym, przewyższając osławione supergiganty zachodnie tym, że nie są przesłodzone, przerysowane, przedobrzone (np. piasek pustyni oraz świątynie są raczej szare niż złoto-czerwone). Jest to więc nie tylko uniwersalny dramat władzy, ale i widowisko dużych rozmiarów. Niesłaby, dłużyzny w niektórych miejscach (np. ospałe sceny batalistyczne) przeciągają akcję, osłabiają napięcie dramatyczne, które w ogóle nie jest zbyt silne w tym filmie, w którym ludzie są jak posągi, a ich działania mają dość wolne obroty. A te usterki, w filmie przecież w dużej mierze widowiskowym, mają nieblahe znaczenie.

Eugeniusz Paukszt

Rewelacje

Tempo edytorskie MON-u może zaimponować. Dopiero kilka tygodni temu pisałem o pierwszym tomie potrzebnej pracy, zastępującej tracące co nieco już myślką podobne dawne opracowania, a o mam przed sobą na biurku drugi i ostatni tom „Zarysu dziejów wojskowości polskiej do roku 1864”, obejmujący lata 1648 do 1864. Tekst jest napisany przejrzysto, zawiera szereg nowych, nieznanych materiałów archiwalnych wykorzystanych w pracy, zwłaszcza gdy dotyczy to dziejów powstań Kościuszkowskiego, Listopadowego i Sycylińskiego. Zestawia mapy, wykresy, ilustracje, chronologię wydarzeń wojennych, bibliografię, przypisy, indeksy wszelkiego rodzaju przydają dziełu dodatkowych walorów.

W tym samym wydawnictwie ukazała się też praca **Jerzego Korczaka „Klucz do Berlina”**, napisana żywo z silnymi akcentami beletrystycznymi monografia walk i Armii Wojska Polskiego na wielkim zachodnim szlaku bojowym. Konkretnie chodzi tu o przełamanie twierdzy, najeżonych żelazem umocnień tzw. Wału Pomorskiego, otwierającego drogę do Berlina. Korczak w opowieści swą wprowadził prawdziwych ludzi. Ich relacje przeżywania, bohaterstwo, stwarzają kanwę, na której prawdziwych strunach rozsuwa się całościowa relacja, wsparta o dokument, ale nie operująca nim jako wyłącznym świadectwem. I to właśnie, że Korczak potrafił harmonijnie połączyć najbardziej wiarogodny, dokumentalny autentyczny z dynamicznym, pełnym dramatów i śpieć obrazem ludzkich przeżyć, stanowić będzie o niewątpliwym sukcesie tej książki.

Kraków przez swe **Wydawnictwo Literackie** odbiera nas z licznymi reprodukcjami wydaną biografią **Jana Matejki** pióra **Jana Gintela**. Zresztą osobliwy to typ biografii,

wsparty o źródła współczesne artystyczne i ukazujący go nam oczyma jego współczesnych. Książka ta mówi o Matejce i dziejach jego życia, ukazując go niejako na co dzień, na co dzień też ukazując opinie współczesnego mu społeczeństwa o nim samym i jego dorobku. Poznajemy Matejkę nie-sztampowego, nie z taniego oleodruku, ale Matejkę naprawdę żywego, cierpiącego i zmagającego się tak z własną sztuką, jak z okalającym światem.

I jeszcze drugi rarytas z Krakowa. Pełny, oparzony żywym wstępem Kazimierza Wyki „**Wybór pism publicystycznych Ksawerego Pruszyńskiego**”. Są to skrupulatnie zebrane, niepublikowane dotychczas w tomach, spoczywające w rocznikach czasopiśmiennictwa wybitnego pisarza. Tom pierwszy mieści publicystykę przedwojenną, tom drugi o wydarzeniach wojennych przez szlaki, jakimi kroczył autor wiodł nas aż po czas wyzwolenia i obraz odradzającej się Polski. Wydanie tych prac będzie dla starszego pokolenia przypomnieniem emocji przeżytych przy każdym niemal druku śmiałego publicysty, dla młodszych zaś pełniej ukaże postać człowieka twardego, znanego mniej może z bezpośredniej walki swojego pióra, co z tekstów „Karabelli z Meschedu” i „Trzynastu opowieści”.

Powoli zaczynamy poznawać spuściznę epistolograficzną **Zygmunta Krasińskiego**. I o to okazuje się, jak ten poza „Nieboską” raczej zapomniany autor odżywa w nowym świecie. Te listy, to wspaniała proza, to obraz czasu współczesnego pocie. W „Czytelniku” ukazał się tom „**Sto listów do Delfiny**”, rzeczywiście, jak to nazywa we wprowadzeniu Jan Koff, największa powieść polskiego romantyzmu. Bo naprawdę te listy układają się w romans, jeden może z najpiękniejszych w naszej literaturze.

W PIW-ie natomiast, po uprzednio wydanych listach Krasińskiego do ojca, otrzymaliśmy obecnie „**Listy do Jerzego Lubomirskiego**”, odnalezione i opublikowane przez Zbigniewa Sudolskiego. Listy te rzucają wiele pełniejszego światła tak na osobę samego ich autora jak i na sylwetkę Jerzego Lubomirskiego, światłego umysłu, kurałora Zakładu im. Ossolińskich, wielce zasłużonego dla kultury polskiej, co jakby symbolicznie potwierdza poświęcona mu tablica na Wawelu. I te listy, choć inne niż do Delfiny, inne w zakresie tematycznym, czyta się jak frapującą prozę.

W PIW-ie także ukazała się w serii „Ludzie żywi” cenna praca monograficzna **Wiktora Woroszyńskiego „Życie Majakowskiego”**. Woroszyński oparł się na dokumentach, ale zachowując prawo własnego niejako ich komentarza.

Z książką na ty

Sztuka a upowszechnianie

Dokończenie ze str. 1

i ta jest jedna sztuka. Dobre krzesło może być na pewno większym dziełem sztuki od złego obrazu.

— W czym widzi więc Pan szansę upowszechniania sztuki. Czy w rozwoju plastyki użytkowej?

— Przede wszystkim w stwarzaniu ludziom możliwości bezpośredniego obcowania z różnorodną sztuką: dawną i współczesną — w bezpośrednim łączeniu wszelkich nowoczesnych funkcji humanistycz-

nych z plastyką. A więc w wykorzystaniu dla popularyzacji sztuki takich części organizmów miejskich, jak parki, plaże, ulice, wnętrza, salony rekreacyjne wielkich zakładów pracy. Oczywiście nie należy to bezpośrednio od plastyków.

Drugą sprawą, tą już bardziej zależną od plastyków jest to, aby w miarę możliwości produkowali oni także rzeczy do konsumowania natychmiast: scenografie, grafikę użytkową, to wszystko, co zbliża widza do odbioru plastyki warsztatowej.

— A jakie miejsce w tym programie zblizenia odbiorców do sztuki zająć powinno Pańskim zdaniem na-

uczanie i wychowywanie estetyczne dzieci?

— Widz dziecięcy jest w pewnym sensie najbliższy artyście, człowiekowi, który sam uprawia sztukę i jest w stanie bez ograniczeń ją odbierać. Nie ma on żadnych uprzedzeń, jest chłonny, bezinteresowny. Nauczanie dziecka plastyki nie można jednak traktować jako sensu stricto nauki. Polega ono raczej na stwarzaniu odpowiednich warunków do wypowiedzi, na łączeniu zabawy z grą wyobraźni. W ogóle wydaje mi się, że nie można nikogo nauczyć sztuki. Sensowniejsze od nauczania jest chyba poddawanie

uczniom tematów, z którymi nie spotykają się w sztuce dawnej i współczesnej. Z tej zasady wychodząc stawiam studentom PWSSP przede wszystkim takie zadania, których nie mogą rozwiązać przez naśladowictwo, dla których nie mają żadnych wzorców. Chodzi po prostu o to, by nie popełniali błędów naśladowictwa, by podejmowali w sztuce pełną odpowiedzialność moralną na osobisty rachunek. Wiemy przecież, ile niedobrego wyrządziło polskiej plastyce właśnie to przymierzanie się np. do sztuki francuskiej.

Rozmawiał:
OLGIERD BŁAŻEWICZ

Przeglądamy Prasę

POUCZAJĄCE KONFRONTACJE

Pod tym tytułem „TRYBUNA LUDU” (nr 70) zamieszcza artykuł o reakcjach prasy i rozgłośni zachodnich na temat ordęzi biskupów polskich do niemieckich. Dziennik informuje, że wychodzący w Nowym Jorku gazetka „Nowy Świat” zamieściła 7 bm. oszczerczą informację pt. „Bojówki i milicja aresztują w Polsce obrońców Kościoła”. Mowa w niej o rzekomej aresztowaniu i rzekomej akcji kolportowania antykościelnych ulotek a także o zamierzonej jakoby serii „aktów represyjnych wobec Episkopatu, kleru i wiernych”. Prostawanie tych wymysłów jest zbędne, bo — jak pisze „Trybuna”:

„Najlepszego demontażu udziela zresztą sam ks. kardynał Wyszyński i liczni biskupi, systematycznie, co niedziela, a niekiedy i w dni powszednie wypowiadając się bez skrępowania z ambony w duchu nieustępliwej, żądającej niechęci wobec podstaw ustrojowych Polski Ludowej. „Nowego Świata” po wolać się na biuletyn informacyjny „Wolnej Europy” — znana to firma, rekomendować jej nie trzeba. Posłuchajmy jednak i „Wolnej Europy”, gdzie 7 marca była m. in. mowa o „jawnym przesładowaniu Kościoła”. Przekręcają to oszczerce twierdzenie relacje wielkich agencji zachodnio-europejskich o niedawnym piśmie premiera Cyrankiewicza do Księdza Biskupów Kościoła Rzymsko-Katolickiego. Pisała DPA: „Polski premier zapewnił, iż rząd i państwo polskie nie chcą walki z Kościołem Katolickim”. Podkreśliła AFP: „Na próżno byłoby szukać w liście Premiera jakiegos ataku przeciwko Watykanowi lub Kościołowi”.

6 marca paryski „Combat” pisał: „Zajęcie przez kardynała Wyszyńskiego, prymasa Polski, stanowiska w polityce zagranicznej irytuje państwo polskie tak, jak irytowałoby, prawdę mówiąc, każde inne państwo laickie. „Dziennik podkreśla, że „rząd polski nie wy maga niczego więcej, jak lojalności wobec Polski Ludowej i poszanowania Konstytucji”.

„Trybuna” dokonuje innej również pouczającej konfrontacji. Oto 5 marca „La Croix” stwierdzał, że „bez najmniejszej własnej winy” Episkopat polski stał się „przedmiotem napaści”, a obecna sytuacja w stosunkach między państwem a Kościołem „dostarcza namacalnych dowodów, że niemożliwy jest jakikolwiek wartościowy dialog”, za co według tegoż pisma, winę ponosi rząd polski. Zupełnie innego zdania jest w tej sprawie angielski dziennik „The Guardian”, który w artykule „Zerwany most” pisał:

„Pomysł przebaczenia Niemcom z pewnością oburzył wielu wierzących katolików polskich... List episkopatu do biskupów hiszpańskich był co najmniej nietaktowny w najwyższym stopniu; wyraża on sympatię dla nacjonalistycznych obrońców Alkazaru w czasie wojny domowej i porównuje walki Kościoła hiszpańskiego w tym okresie z walkami Kościoła polskiego... A przede wszystkim sposób postępowania kardynała Wyszyńskiego jest chyba zupełnie nieobliczony na to, aby pozabawić spór jego ostrych akcentów... Wielu od danych katolików w Polsce zacytuje niepokoić się postępowaniem swego prymasa”.

W artykule cytuję się następnie włoską gazetę „Popolo”, która pisała ostatnio o „bezdopustawności zarzutów wysuwanych wobec ordęzia”, a zwłaszcza o tym, że „religijna zawartość ordęzia władze polskie przekształciły w problem polityczny”. Na ten sam temat dziennik duński „Kristeligt Dagblad” pisał:

„Jeden z postów katolickich wyraził ubolewanie, iż rząd polski nie został poinformowany przed wysłaniem zaproszenia biskupom niemieckim. Stwierdzenie to nabiera wagi w oparciu o wiadomości z Rzymu, dotyczące przygotowań do wymiany listów (...) Trudno więc na tym leż utrzymywać — czytamy w zakończeniu tego artykułu — iż wymiana listów nie zawierała elementów politycznych. Zwrócono się o radę do rządu w Bonn, lecz nie w Warszawie”.

W zakończeniu artykułu „Trybuna Ludu” czytamy: „Tyle obiektywny dziennik duński. Jego wywody potwierdza w całej rozciągłości katolicki miesięcznik „Quaestitalia”, wydawany w Wenecji. W opublikowanym tu w ostatnim numerze artykule, utrzymujemy zresztą w tonie jawnej niechęci, znajdujemy rewelacyjne szczegóły, dotyczące postępowania biskupów polskich i niemieckich w okresie rzymskich pertraktacji nad ordęziem i niemiecką na nie odpowiedź. Fakty te dowodzą niezbicie zasadniczej różnicy między postępowaniem niemieckich biskupów, niestawianiem konsultujących swe kroki z przedstawicielami rządu hiszpańskiego, a postawą polskich biskupów, wzbraniających się od jakiegokolwiek konsultacji ze swoim rządem. Nader wymowne jest to świadectwo miesięcznika, który sympatiami do rządu polskiego nie grzeszy”.

SPRZEŻENIE ZWROTNE NAUKI

Śladem ankiety o planowaniu nauki w Polsce, „POLITYKA” publikuje obecnie artykuł prezesa Polskiej Akademii Nauk prof. dr. Janusza Groszkowskiego, poświęcony istotnym problemom planowania i rozwoju nauk w naszym kraju.

Zdaniem prof. Groszkowskiego w praktyce mogą być brane pod uwagę dwie generalne koncepcje określenia bezpośrednich zadań planu lub połączenia tych koncepcji, czy też ich elementów. Według pierwszej koncepcji przedmiotem planu rozwoju nauki miałyby być określenie głównych kierunków rozwoju badań naukowych wszystkich dyscyplin oraz

ukierunkowanie rozwoju niezbędnych do tych badań kadr naukowych i bazy materialno-organizacyjnej. Druga koncepcja zakłada, że troskę o określenie perspektyw i wytyczenie kierunków rozwoju poszczególnych dyscyplin naukowych, można i należy pozostawić uprawiającym je uczonym czyli praktycznie — przede wszystkim poszczególnym komitetom naukowym i że należy zrezygnować z centralizowania i unifikowania tych prac.

Jednym z zasadniczych problemów — zdaniem prezesa PAN — jest powiązanie między opracowaniem perspektywnego planu rozwoju gospodarczego a opracowaniem takiegoż planu rozwoju nauki:

„Nauka polska — czytamy — powinna bowiem podejmować nie tylko te problemy naukowe, które wynikają z już wytyczonych kierunków rozwoju gospodarki, lecz także sama powinna wskazywać gospodarce na pewne dostrzegane przez siebie możliwości i sugerować jej nowe kierunki rozwoju”.

KATASTROFIZM I NOWOCZESNOŚĆ

„Czy katastrofizm jest synonimem nowoczesności?” — to tytuł artykułu Włodzimierza Sokorskiego, który na łamach „KULTURY” stwierdza, że katastrofizm zarówno w filozofii, jak i w literaturze zarówno w środowiskach młodzieżowych, jak i starszych snobów szerzy coraz większe spustoszenie. Katastrofizm jako spojrzenie na świat, ludzi i siebie uchodzi za symbol nowoczesności w pewnych grupach „wiekowych” oraz w pewnych innych lub więcej „wyaligrowanych” środowiskach twórczych i naukowych. Ten nowoczesny katastrofizm światopoglądowy nie ma ani ostrza antywojennego ani też antyteaktywnego; generalnie kwe-

stionuje zdolność człowieka, czy też całych ruchów społecznych do rozwiązywania na gruncie współczesności konfliktów politycznych i tragedii osobistych.

„Powszechna alienacja rzeczy, faktów, zjawisk i ludzi. Człowiek sam w sobie ostoja i wyrocznia. Dojrzeć siebie i siebie przeciwstawić każdej próbie społecznych i powszechnych rozwiązań — oto jest sens i istota „nowoczesnego” człowieka. Oczywiście należy gwałtownie sprawdzić, czyż nie pisze Sokorski — że między katastrofizmem środowisk intelektualnych i katastrofizmem gitarzystów jest olbrzymia różnica. Jednym naprawdę chodzi o świat i ludzi, których nagle dojrzały w stanie absolutnego rozszepcenia, drugim chodzi o zwykłą „drakę” i usprawiedliwienie samego siebie w „drace” powszechnej”.

W konkluzji autor stwierdza: „Wydaje mi się, że katastrofizm jako zjawisko i jako postawa polityczna i społeczna posiada niewątpliwie reakcyjne korzenie.

ZEBRANIE ZA SZEŚĆ MILIARDÓW

Sześć miliardów złotych wyniosły w roku ubiegłym koszty związane z wyjazdami na konferencje i delegacje. Suma ta nie obejmuje jednakże kosztu czasu poświęconego konferencjom. 5 milionów zł za nieprzepracowane dniówki wypłacono w okresie 10 miesięcy w 14 łódzkich zakładach pracy osobom zwolnionym od zajęć na różne narady i konferencje. W Hucie im. Lenina na każdego pracownika przypada średnio w miesiącu 19,5 godz. zebrań. Liczby te podaje Wiesław Wernic w publikacji drukowanej przez „TYGODNIK DEMOKRATYCZNY”. Koszty konferencji są zbyt wysokie by or-

ganizować narady nieprzygotowane i nieprzemysłane. O to właśnie idzie autorowi artykułu, który z jednej strony postuluje polepszenie jakości konferencji (wyeliminowanie gadulstwa, przestrzeganie terminów rozpoczynania narad i wyznaczanie terminów ich zakończenia), a z drugiej — proponuje lepsze wykorzystywanie po prostu telefonu.

✱

„Życie Literackie” zamieszcza kolejny reportaż Jerzego Lovella o mniejszościach narodowych w Polsce pt. „Ukraiński kompleks”; tenże tygodnik piórem Stefana Rafałowicza recenzuje książki nagrodzone w konkursie Wielkopolskiego Towarzystwa Kulturalnego i Wydawnictwa Poznańskiego. „Prawo i Życie” krytykuje postępowanie Państwowego Zakładu Ubezpieczeń wobec jego klientów w reportażu Jerzego Patyńskiego pod ironicznym tytułem „PZU — twój przyjaciel”. „Życie Gospodarcze” drukuje artykuł Zbigniewa Lewandowicza — „Gospodarka ZSRR w latach 1966—70”. „Polityka” rozmawia z Jerzym Kawalerowiczem, reżyserem filmu „Faraon”; w tym samym tygodniku znajdujemy aż 4 opracowania (3 kolumny druku, na temat związków z ostatnimi wydarzeniami w Afryce. Stefan Kułak w „Mortorze” pisze, że CPN „zapowiada radykalną poprawę”. Oby, chociaż gdyby już wszystkie „radykalne poprawy”. Zapowiadane przez różne instytucje się spełniły, to dzisiaj nie trzeba by już niczego poprawiać w „Szpilkach”. Leon Pasternak występuje „W obronie nowego ministra handlu wewnętrznego” publikując taką fraszkę:

„Tak Sznajder kraje,
jak towaru staje”.

LEKTOR